Horace B. Fyfe

Wyjście z sytuacji

(A Transmutation of Muddles)

Astounding Science Fiction, September 1960
Ilustracje: H. R. Van Dongen
Tłumaczenie: Witold Bartkiewicz © Public Domain
Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.

Doświadczony handlarz koni, naciągacz chwytający okazje i generalnie straganiarz, musi mieć ten bardzo specyficzny talent, pozwalający mu obrócić dwa bóle głowy w jedną pastylkę aspiryny…

Odrapany mały międzygwiezdny statek zwiadowczy, wylądował w płomieniach rakiet, na powierzchni Kappa Orionis VII, mniej więcej milę od wioski tubylców. Pilot, porucznik Eric Haruhiku, wypalił otwarte pole, ale jak wyjaśnił Louisowi Mayne, był na tyle uważny, że nie uszkodził ani żadnych terenów porośniętych lasem, ani koło samej linii brzegowej.

– Kappanie są nieco drażliwi na ich punkcie, panie sędzio – wyjaśnił. – Łowią wiele ryb, tak jak może pan się domyślić, po tych płytkich morzach, a w lasach zbierają owoce. Ale nie mają za dużo rolnictwa.

– Nie ma sensu prowokować kłopotów – pochwalił go Mayne. – Jesteśmy kawał drogi od Rigel.

– A jeszcze większy od Sol – powiedział pilot.

– Tak jakbym tego nie wiedział, chłopcze! Gdyby nie to, byłbym tylko kolejnym emerytowanym kapitanem, spokojnie pracującym na swoim ranczu na Rigel IX. A w tej sytuacji, żeby zarobić na życie, muszę pędzić wszędzie na wezwanie, jako sędzia rozjemczy.

– Ktoś musi rozwiązywać takie sprawy – powiedział Haruhiku. – Tutaj, daleko w kosmosie, nie ma za wiele prawa, poza tym, jakie zdołają wprowadzić Siły Kosmiczne. No cóż, sir, jeżeli mi pan wybaczy, to każę ludziom wyciągnąć helikopter, który zabierze nas do wioski.

– Zanim pójdziesz, daj mi jeszcze raz do przejrzenia tę ostatnią wiadomość – poprosił Mayne.

Pilot wyciągnął kartkę papieru ze swojego notatnika i wychodząc wręczył ją Mayne'owi. Mayne bez specjalnej przyjemności, przestudiował tekst wiadomości.

Kwatera Główna Terrańskich Sił Kosmicznych na Rigel IX uprzejmie go informowała, że długo oczekiwany wysłannik z Terry na Kappa Orionis VII, nie tylko przybył, ale również odleciał dwa dni po Maynie.

Miano nadzieję, jak głosił dalej komunikat, że nic nie zdoła przeszkodzić zaplanowanemu celowi, zawarcia jakiejś przyjaznej ugody z Kappanami, która zezwoliłaby Terranom ma wykorzystanie ich planety, jako bazy dla statków kosmicznych. Wysłannik, oczywiście, przygotowany był do zaoferowania bodźców handlowych i rozmaitych innych form pomocy, na wpół cywilizowanym tubylcom. Mayne proszony był o wykonanie tak wielu wstępnych prac, ile tylko zdoła.

W moim wolnym czasie, bez najmniejszej wątpliwości – kwaśno rozmyślał. – *Muszę w jakiś sposób załatwić tę głupią sprawę do końca, a*

przynajmniej dopóki tubylcy upierają się przy swoim. Ale czy ktoś mówił rządowi o firmach ubezpieczeniowych? Jeżeli będzie to kosztowało pieniądze, albo proces, to czy oni mnie poprą?

Czuł, ze utkwił w dosyć śmiesznym dylemacie. Kappanie donosili, że zajęli terrański statek kosmiczny, ponieważ wylądował, żeby prowadzić handel. Naturalnie kapitan zaczął wrzeszczeć o pomoc. Twierdził, że lądował awaryjnie, jego firma ubezpieczeniowa myślała jednak inaczej. Kolejną, zupełnie odmienną koncepcję, zdawali się mieć w głowach Kappanie. Tak więc wezwano w tej sprawie Mayne'a, żeby wydał decyzję, zgodnie z prowizorycznym, ale jednak działającym, systemem tego rodzaju umów, na obrzeżu przebadanej przez Terrę sfery kosmosu.

Niechętnie ruszył do swojego malutkiego kącika, przydzielonego mu na przepełnionym zwiadowcy, gdzie przebrał się w bardziej formalną jasnoniebieską tunikę, która, jak miał nadzieję, zrobi większe wrażenie w oczach tubylców. Do czasu zanim skończył przygotowania, helikopter już czekał. Wsiadł do niego wraz z Haruhiku, i siedzący za sterami marynarz wystartował w kierunku sceny całego sporu.

Po przybyciu nad wioskę, unosili się nad nią przez parę minut, podczas których Haruhiku przyglądał się układowi terenu. Porucznik był już kiedyś na tej planecie. Na tyle długo, by podłapać nieco języka i zwyczajów, tak więc Maine z zadowoleniem, przyjął jego radę, aby wylądować w pewnej odległości od statku kosmicznego, wznoszącego się obok wioski.

Zeszli więc na dół około stu jardów od niego, pomiędzy pożłobioną koleinami, chyba jakiegoś rodzaju drogą, i pokrytą strzechą chałupą.

– Oczekują na nas – powiedział Haruhiku, wskazując gestem na stojącą przed chatą grupę.

Składała się ona z sześciu ludzi i kilku kappańskich tubylców. Ci ostatni, naturalnie, przede wszystkim przyciągnęli spojrzenie Mayne'a. Najbardziej rzucający się w oczy osobnik spośród nich, miał około pięciu stóp wysokości. Na planecie posiadającej mniej więcej taką samą masę jak Terra, Kappanin ważyłby prawdopodobnie ponad dwieście pięćdziesiąt funtów. Był kanciasto wyglądającym dwunogiem, mającym coś gadziego, w dziedzictwie swoich przodków, ponieważ jego skóra pokryta była łuskami, a wzdłuż podłużnej czaszki wyrastała mu korona z długich kościanych płyt. Ręce i nogi miał ciężkie i zakrzywione, ze stawami skrytymi przez grubą warstwę mięśni i luźną skórę. Mayne'a uderzyła dziwaczna fantazja, że kolor skóry Kappanina, mieszanka brązowego i oliwkowego, przypominał małego smoka, któremu udało się zafundować sobie dobrą opaleniznę. Głównym elementem jego ubioru, była żółta spódniczka, chociaż miał na sobie również kilka ozdób z wypolerowanych kości.

Jeden z Terran wyszedł do przodu. Ubrany był w na wpół wojskowy uniform.

– Przypuszczam, że pan Louis Mayne? – zapytał.

– Ma pan rację – odparł Mayne. – A pan zapewne jest kapitanem Voorhisem, dowódcą Gemsboka?

– Zgadza się. Oto zaś Eemakh. Jest czymś w rodzaju wodza tej wioski, albo może szczepu, czy jakkolwiek chce go pan nazywać.



Mayne stwierdził, że jego spojrzenie niemal utonęło w kocich szparach intensywnej czerni, w parze ogromnych pomarańczowych oczu, ocienianych masywnymi wałami nadoczodołowymi. Tubylec wygłosił jakieś zdanie w trzeszczącym języku, o twardym, urywanym rytmie.

– Wita pana na Kappa – przetłumaczył Haruhiku. – Ma nadzieję, że bogowie nie będą niezadowoleni.

– Co za ciepłe powitanie! – skomentował Mayne. – Czy w pana przypadku to również szło tym torem, kapitanie Voorhis?

– Tylko mniej więcej – stwierdził marynarz. – Jeden z moich chłopców zna parę słów. Przez resztę czasu, dogadywaliśmy się gestami. Muszę jednak przyznać, że oni nie byli też specjalnie nieprzyjaźni.

– Ale zajęli pański statek?

– Ma pan cholerną rację! Chociaż ten gość od ubezpieczeń, którego tutaj przysłali, nie chce tego widzieć w taki sposób.

– A gdzie jest ten przedstawiciel Belt Insurance Company? – spytał Mayne.

– Melin? Jego statek wylądował po drugiej stronie wioski, jakieś pół mili stąd. Niedługo powinien się tu pojawić. Musiał widzieć wasze lądowanie.

Mayne zastanawiał się, czy nie powinien raczej zaczekać na przyjście urzędnika ubezpieczeniowego, zanim zacznie zadawać jakiekolwiek pytania. Aby ukryć swoje wahanie, odwrócił się, żeby po raz pierwszy przyjrzeć się dokładniej Gemsbokowi.

– A co oni tam wyprawiają? – zaczął się dopytywać, wpatrzony w statek.

Gemsbok był, albo raczej kiedyś był, niezgrabnym, grubym statkiem kosmicznym, na krawędzi wieku predestynującego go wyłącznie do złomowania. Strzelał w niebo pomiędzy wioską, a niebieskawo-zielonymi drzewami kappańskiego lasu, przechodząc właśnie proces transformacji w obiekt, o pewnym niesamowitym wdzięku, ale który z pewnością miał już pozostać na tej planecie.

Wokół statku rój tubylców budował jakąś konstrukcję. Sięgała ona połowy wysokości statku, który służył budowli jako centralna kolumna. Większość jej powierzchni zewnętrznej, wydawała się być złożona z sieci dziwnie powykrzywianych kawałków, jakby drewna, któremu nadano wysoki połysk. Maine podejrzewał, że zielonkawe refleksy, były odbiciem koloru lasu.

– Kość – zwięźle wyjaśnił Voorhis. – Pozyskują ją ze stworzeń, które łowią w morzu. Oczywiście, główne podpory są z drewna i zbudowane są tak by można dopasować je do kadłuba.

– Tutejsze ryby wyrastają do dużych rozmiarów – dodał Haruhiku. – To jest, jeżeli te zwierzęta można nazwać rybami. Raz widziałem, jak tubylcy oprawiali coś, co bardziej przypominało dinozaura.

Mayne zdał sobie sprawę, że konstrukcja z kości tworzy coś w rodzaju cienkiej ściany. Na niższych jej poziomach paru tubylców zdawało się eksperymentować z masą z mokrych liści, którą z obu stron oblepiali mur.

– Namoczyli je w jakimś wywarze gotowanym z rybich wnętrzności – wyjaśnił jego pilot. – Tak samo jak dachy chat. Kiedy wyschnie, robi się to dosyć twarde, nawet wodoodporne. Ale smród nigdy nie wysycha do końca.

– Ale co im strzeliło do tych kościstych małych móżdżków? – spytał Mayne. – Po prostu powiedzcie mi, na czym polega ten cały bałagan, jaki mamy tutaj?

– Może mi pan wierzyć, albo nie, ale to jest świątynia – oznajmił Voorhis. – Powiedzieli mi, że wylądowałem statkiem na ziemi poświęconej wielkiemu bogowi Meeg!

Mayne spojrzał na Haruhiku.

– Och, niech pan da spokój! Przyleciałem tu kawał drogi z… – Urwał, kiedy zobaczył poważny wyraz twarzy pilota. – Och! Tego rodzaju sprawa *może* być poważna, jak myślę.

Mayne wyobraził sobie, że wódz Eemakh, pędzi w jego stronę, zaalarmowany wzmianką na temat miejscowego boga. Ciężko westchnął. Zapowiadało się, że będzie to długi dzień.

Uratowały go, przynajmniej na razie, owacje dobiegające od strony wioski. Wzdłuż kolein rozciągających się pomiędzy Maynem i statkiem zbliżała się jakaś procesja.

Okazało się, że honorowe w niej miejsce zajmował dwukołowy wózek, prymitywnej, chociaż masywnej budowy. Jechał nim kappański woźnica, dwóch Kappan z włóczniami, wyglądających na oficjalną straż, oraz trzymający się z całych sił bocznych poręczy, Terranin. Wózek ciągnął zaprzęg agresywnych zwierząt, o przerażająco gadzim wyglądzie, człapiących ociężale obok siebie w luźnej uprzęży. Od czasu do czasu, to jedno z nich, to drugie, potykało się o lejcę zwisającą z jego strony i wydawało z siebie groźny ryk, tak jakby podejrzewało swojego towarzysza z zespołu o spowodowanie tego fałszywego kroku.

Za i przed tym powozem maszerowała eskorta honorowa, złożona z Kappańskich wojowników. Kontyngent tylnej straży trzymał się blisko wózka, podczas gdy oddział idący z przodu utrzymywał między sobą a zespołem pociągowym znaczną odległość.

Procesja zatrzymała się, żołnierz który nią dowodził uniósł trzymaną włócznię w salucie dla Eemakha, a inni pomogli zejść z wózka, wytrzęsionemu Terraninowi. Przedstawił się on Mayne'owi, jako Robert Melin.

– Przejdźmy może do chaty, którą dla nas zrobili, i tam sobie usiądźmy – zasugerował Voorhis.

Melin, wysoki, ponury blondyn, którego cywilny garnitur, wydawał się w tym otoczeniu, ubiorem nieco za bardzo formalnym, z wdzięcznością przystał na propozycję. Otarł kurz ze swojej podłużnej twarzy i obserwował, właśnie obracany w drugą stronę wózek.

Procesja oddaliła się w kierunku wioski, ze strażą przednią maszerującą w szczególnie energiczny sposób, zaś Mayne zaczął organizować całą naradę.

Dowiedział się, że usunięta z pokładu załoga Gemsboka mieszkała w chacie położonej w pobliżu. Przed nią stał długi stół z ławami, wszystko to ewidentnie pozbijane ze świeżo ściętego drewna. Voorhis oddawał zasługę za to Melinowi, ponieważ przed przybyciem likwidatora szkód i jego ekipy, ludzie z Gemsboka nie mieli dostępu do narzędzi energetycznych.

Mayne zajął miejsce u szczytu stołu. Część z załogi Gemsboka, wyszła z chaty na dwór, żeby się przyglądać. Większość z kappańskich wojowników, towarzyszących wodzowi, zajęła stanowiska między stołem a statkiem, w sposób sugerujący wyrobione nawyki. Mayne domyślał się, że pewnie próby ponownego wejścia na statek, nie były niczym niezwykłym.

Umieścił Haruhiku po swojej prawej ręce, aby tłumaczył, wszystko co będzie konieczne. Melin i Voorhis usiedli po jego lewej, zwróceni plecami do chaty. Po przeciwległej stronie stołu, znaleźli się Eemakh i dwaj Kappanie: Igrillik, którego przedstawiono Mayne'owi, jako wysokiego rangą kapłana plemiennego, oraz Kaynoxa reprezentującego kogoś w rodzaju zwierzchnika, rządzącego okręgiem.

– Miałem zamiar wylądować w okolicy ich miasta – dodał jeszcze Voorhis, – ale wysoko w stratosferze, złapaliśmy jakieś paskudne wiatry. Rzuciło nas trochę w burzę, a potem już siadaliśmy tam gdzie się dało.

– No dobrze, proszę opowiedzieć mi o wszystkich szczegółach – powiedział Mayne. – Chcę wiedzieć o wszystkim co się działo, od samego początku, jeżeli tylko się da. Przy okazji, poruczniku Haruhiku, proszę wyjaśnić wodzowi, że w drodze jest specjalny wysłannik, że chcemy jego przyjaźni, i zajmiemy się całą tą sprawą w uczciwy sposób.

Poczekał na zakończenie wymiany urywanych zdań, pomiędzy pilotem i Eemakhem.

– Wódz mówi, że jest pewny uczciwego rozwiązania tej sprawy – zameldował Haruhiku.

– Zastanawiam się, co on przez to rozumiał – wymamrotał pod nosem Mayne. – Czy jeżeli zawrzemy umowę z nim, a tym samym z jego

zwierzchnikiem, czy będzie to pokrywało wystarczająco dużo terytorium, żeby było oficjalne?

– Na tyle dużo, na ile w ogóle można zebrać razem na tej planecie, sir.

Mayne skinął głową, a następnie zwrócił się do kapitana Voorhisa:

– A teraz może opowie nam pan o tym tak zwanym lądowaniu awaryjnym? – ponaglił go.

– No cóż, była burza, tak jak powiedziałem. Problem polegał na tym, że nie spodziewałem się, że w nią wpadniemy i… cóż… ktoś wpadł na pomysł, żeby przed lądowaniem awaryjnym, odrzucić część zbiorników z paliwem. To właśnie dlatego nie żądam nic za paliwo – skończył, zwracając się do Melina.

– Jesteśmy absolutnie skłonni, żeby zapłacić za ten element – odpowiedział człowiek z firmy ubezpieczeniowej.

– W każdym razie – kontynuował Voorhis, – usiadłem tam, gdzie dostrzegłem otwartą przestrzeń, w efekcie czego, oczywiście, utknęliśmy tutaj, nie mając na czym wystartować. Wszystko wydawało się być w porządku. Rozładowalibyśmy nasze towary, a gdyby miejscowi mieszkańcy nie byli w stanie ich wszystkich użyć, moglibyśmy resztę wykorzystać na własne potrzeby. Wyszliśmy więc na rozmowy, a oni nie pozwolili nam wrócić na statek. Mieliśmy najzwyklejsze szczęście, że mój łącznościowiec wysłał raport o lądowaniu, kiedy wyglądało na to, że się rozbijemy, bo w przeciwnym razie patrol Sił Kosmicznych nigdy by nas nie usłyszał.

– Czy były jakieś kłopoty? – spytał Mayne. – Jakieś niepotrzebne akty przemocy?

Voorhis zastanawiał się, pocierając w zamyśleniu tył głowy.

– No cóż… Przypuszczam, że patrząc na to z ich punktu widzenia, mogło to przebiegać znacznie bardziej twardo. Było parę ciosów pięścią, a jeden z moich ludzi dostał po głowie włócznią, ale w większości przypadków, oni zachowywali się… no cóż… może nawet bardziej jak gliniarze, niż jak kanibale.

– Tylko wymusili swoje miejscowe prawa, co?

Voorhis nie przełknął tego tak zupełnie bez reakcji. Nie znał miejscowych praw, ani nie obchodziło go, jakie one są, ale uważał to w najwyższym stopniu za podejrzane, że usiadł statkiem akurat dokładnie w miejscu, wybranym przez tubylców pod budowę świątyni.

– A poza tym czy oni muszą używać mojego statku, żeby ją na nim powiesić? – skończył żałosnym tonem.

– W tym punkcie, moja firma zgadza się z panem, panie kapitanie – dorzucił Melin. – Widzi pan, panie sędzio, nasze stanowisko jest takie, że nic nie zostało tutaj zagubione, ani poważnie zniszczone, ani statek, ani ładunek. One zostały tylko odebrane ich prawowitemu właścicielowi, co, jak uważamy, składa odpowiedzialność za ich odzyskanie w ręce rządu Terrańskiego. Kapitan Voorhis cieszy się naszym pełnym współczuciem…

– Taaa! – stwierdził Voorhis. – A jeżeli zostanę skrócony o głowę, próbując odzyskać ten niezniszczony ładunek, to wy przyjdziecie na mój pogrzeb! Mówię przecież, że to jest strata!

– Zaraz, panowie! – przerwał im Mayne. – Pozwólcie mnie zająć się tą sprawą. Obaj panowie, jestem tego pewien, zdajecie sobie sprawę, że nie jestem prawnikiem, pomimo że jestem specjalnym sędzią. Gdyby kolonie, znajdujące się daleko stąd, miały dostateczną liczbę prawników na zbyciu, ja z pewnością nie tknął bym tego nawet palcem. Tym niemniej jednak, decyzja jaką tutaj podejmę, będzie uznawana za prawnie wiążącą przez rząd Rigel IX, tak więc apeluję o zachowanie zdrowego rozsądku.

– Bardzo dobrze, panie sędzio – odparł Melin. – Tutaj są wyliczenia dotyczące…

– Proszę je mocno skrócić – oznajmił Mayne. – Jeżeli będę musiał wysłuchać długiej listy w centykredytach, to pewnie pójdę sobie stąd, zobaczyć jakie tutaj warzą piwo.

– Nie polubiłby go pan – wymamrotał Voorhis, kwaśno spoglądając na wioskę.

– Bez wątpienia – wyszczerzył zęby w uśmiechu Mayne.

Melin przełknął ślinę i wsadził z powrotem do wewnętrznej kieszeni, plik papierów, który wyciągnął z niej wcześniej.

– Mówiąc bardzo ogólnie – podjął temat tonem, jakby bardzo nie lubił czegokolwiek robić ogólnie, – wysokość polisy ubezpieczeniowej opiewa mniej więcej jak następuje: za samego Gemsboka, dwa miliony, ale to jest naprawdę wartość czysto nominalna, przyznana na zasadach czegoś w rodzaju uprzejmości. W przeciwnym przypadku, przy prawdziwej wartości statku, władze z trudem pozwoliłyby kapitanowi Voorhisowi, zabrać go w kosmos…

– Pozostańmy na razie przy tej kwocie – popędził go Mayne, aby zapobiec kolejnej awanturze.

– Ehemm… tak. Dalej mamy ładunek, cena zakupu dwieście tysięcy kredytów.

Voorhis wyraźnie drgnął, a jego twarz zaczęła nabierać czerwonej barwy.

– I, w końcu, polisa na ładunek paliwa, w koszcie trzystu tysięcy. Oczywiście, panie sędzio, są w niej szczegółowe klauzule, które normalnie stosowane są w przypadku paliwa. Zostało ono rzeczywiście ubezpieczone od słabej jakości, przedwczesnych eksplozji, przypadkowej utraty, i tak dalej.

Mayne podsumował w głowie wszystkie pozycje.

– Tak więc pańska firma – stwierdził na głos, – przygotowana jest do zapłacenia za straty poniesione przez kapitana Voorhisa, kwoty dwóch i pół miliona kredytów. Co więc, w tej całej sprawie, jest nie tak?

Obaj mężczyźni zaczęli mówić jednocześnie, ale Melin nie musząc walczyć ze swoim temperamentem, przebił się na prowadzenie.

– Tak właściwie – powiedział, – to czujemy się zobowiązani do wypłaty jedynie trzystu tysięcy.

Teraz zaczną się schody, pomyślał sobie Mayne. W milczeniu czekał na wyjaśnienia.

Połączone spojrzenia wszystkich stron, włączając enigmatyczny wzrok Eemakha, uciszyły plującego się Voorhisa. Melin mówił dalej:

– Przede wszystkim, prawdziwa wartość statku, nawet jeżeli uznamy go za nie do odzyskania –– czego w żadnym wypadku nie robimy –– wynosi tylko około stu pięćdziesięciu tysięcy.

– Nawet jako złom, byłby wart więcej! – ryknął Voorhis.

– Nie, panie kapitanie. Tylko mniej więcej tyle. Dokładnie na taką kwotę go wyceniliśmy. Panie sędzio, czy ma pan pojęcie, jak stara jest ta łajba?

– Może na razie nie wchodźmy w takie szczegóły – zasugerował Mayne.

– Co do paliwa – przyznał Melin, – to jestem skłonny, w geście dobrej woli, nadstawić szyję mojej firmy –– i moją razem z tym, może być pan pewien –– i honorować pełną kwotę.

– Nawet pomimo tego, że połowa paliwa została zużyta w drodze tutaj? – spytał Mayne.

– Zignorujemy to. Przyznajemy, że pan Voorhis nie ma paliwa, i chcemy…

– Chcecie dać mi księżyc, a zabrać gwiazdę – stwierdził Voorhis.

– Chwileczkę! – Mayne przytrzymał jego rękę. – To był statek i paliwo. A co z ładunkiem?

– Co do niego, panie sędzio, my nie uznajemy, że został utracony. Jest dokładnie tutaj, łatwo dostępny. Uważamy, że to jest raczej sprawa dla Sił Kosmicznych, aby przywróciły prawowitego właściciela, a nie by nasza firma refundowała kapitanowi Voorhisowi zawyżoną wartość, jaką za niego żąda.

– Zaczynam rozumieć – wymruczał Mayne. – Nie możecie wepchnąć rachunku jeden drugiemu, to chcecie wsunąć go w moją kieszeń.

To wzbudziło kolejną burzę zaprzeczeń. Mayne w końcu zmusił wszystkich aby go wysłuchali, i zażądał informacji, w jaki sposób ocena sytuacji przez marynarza różni się od przedstawionej przez Melina. Voorhis zebrał się w sobie, groźnie patrząc na człowieka od ubezpieczeń.

– **P**rzede wszystkim – warknął, – nie chcę tych jego parszywych pieniędzy za paliwo. Powiedziałem, że winę za to biorę na siebie, i niech tak będzie. Co do statku… No dobrze, być może on nie jest wart dwóch milionów. Być może dzisiaj, nie ma on już paru lat…

Melin urządził pokaz, licząc na palcach.

– …Ale naliczyli mi opłaty od tej kwoty, i twierdzę, że powinni zgodnie z ta kwotą zapłacić.

– Ale czy może pan udowodnić, że on jest całkowicie utracony, panie kapitanie? – spytał Mayne.

Voorhis wykrzywił się w grymasie o splunął na ziemię.

– Niech pan spróbuje się do niego zbliżyć, panie sędzio! Bardzo szybko otrzyma pan swój dowód!

– No dobrze… a co w takim razie z ładunkiem?

– A tu właśnie, najbardziej robi mnie w konia! – eksplodował Voorhis. – Co za pomysł, wykorzystywać ceny, płacone przy załadunku na Rigel IX! Do diabła, przecież pan wie, że margines zysku podczas handlu na tych nowych planetach, wynosi co najmniej dwadzieścia do jednego. Planowałem, że wystartuję stąd z czterema milionami w rudach, klejnotach, osobliwościach i innych tego rodzaju rzeczach.

– A więc pańskim zdaniem, sam transport dóbr przez kosmos, na tę planetę, zwiększył już ich wartość. Co pan na to, panie Melin?

Melin przesunął się z niepokojem na swojej ławce. Mayne też chętnie poprawiłby swoją pozycję, ale obawiał się że wejdzie mu drzazga.

– Jest w tym jakiś cień prawdy – przyznał Melin. – Nadal jednak, trudno byłoby oczekiwać takiego zwrotu za każdym razem, kiedy jakiś nieregularny statek kosmiczny, wyląduje żeby pohandlować z miejscowymi frajerami.

– Jak przypuszczam – stwierdził Mayne, – nasi pomarańczowoocy przyjaciele nie mówią po Terrańsku?

– Mam nadzieję, że nie! – wykrzyknął Voorhis.

– No cóż, w każdym razie – powiedział Melin, po pełnej niepokoju przerwie, – jak można oczekiwać, że zapłacimy za czyjeś nadzieje? Pan kapitan chce kwotę z dokumentów za statek, a nie chce jej za ładunek.

Mayne wzruszył ramionami. Zwrócił się do Haruhiku.

– Jeżeli kapitan Voorhis i pan Melin nie będą mieli nic przeciwko temu, chciałbym poznać pogląd wodza, na całą tę sprawę.

– Hmm! – chrząknął Voorhis, z klaśnięciem łapiąc się rękoma za głowę.

Melin zadowolił się tylko przetoczeniem oczyma po niebie.

Korzystając z tłumaczenia Haruhiku, Mayne zaczął rozmawiać z Kappanami. Gość z sąsiedniego miasta, w większości tylko uważnie słuchał, ale kapłan Igrillik od czasu do czasu nachylał się, żeby szepnąć coś sycząco do skrytego w zagłębieniu głowy, ucha Eemakha. Mayne'owi wydawało się, że dostrzega podobieństwo między tymi dwoma, pomimo ozdobnego profesjonalnego stroju Igrillika –– długiej szaty z szorstkiego materiału, ufarbowanej w pasy z kilku surowych kolorów, oraz wysokiej czapy, do której przymocowanych było szereg par błoniastych skrzydeł.

Pierwszą rzeczą, jakiej dowiedział się Mayne, było to, że Gemsbok nie był statkiem kosmicznym. Był on symbolem, znakiem zesłanym Kappanom przez wielkiego boga Meega.

– A dlaczego on go wysłał? – spytał ich Mayne.

Wysłał go jako znak, że zaczynał tracić cierpliwość dla swoich dzieci. Przyrzekły mu one świątynię, wyznaczyły nawet już odpowiednią ziemię, ale nie rozpoczęły jeszcze pracy.

– Czy to właśnie dlatego, oni wszyscy są tam, gorączkowo harując tak jak niewolnicy?

I rzeczywiście, taki był powód. Poza wszystkim innym, Meeg był bóstwem wewnętrznego księżyca, tego który tak szybko przemykał przez niebo. Jeżeli potrafił skierować statek obcych dokładnie na spłacheć swojej własnej ziemi, to równie dobrze mógłby spowodować, że wyląduje on w samym środku wioski. A oni widzieli płomienie towarzyszące lądowaniu.

Czy wielce szanowny wódz z gwiazd, mógłby winić ich za to, że odpowiadają na to ostrzeżenie?



– Rozumiem ich stanowisko – wymamrotał z rezygnacją Mayne. – No cóż, być może uda nam się jakoś sensownie porozmawiać o ładunku. Powiedz im, że w ładowniach jest wiele rzeczy, które mogłyby uczynić ich bogatszymi. Narzędzia, klejnoty, wspaniałe ubrania –– proszę im to jakoś zgrabnie opowiedzieć, poruczniku.

Tym razem Eemakh naradził się z wysokim kapłanem. Wynikiem tego posiedzenia była informacja, że ładunek jest świętą ofiarą, która zostanie wykorzystana lub nie, w zależności od tego, co bóg Meeg zadecyduje w dalszej kolejności. Wódz miał zamiaru nikogo obrażać. Kappanie zdawali sobie sprawę, że Voorhis i jego ludzie nie byli demonami, tylko ludźmi kosmosu, takimi jacy często przywożą wartościowe dobra na handel. Kappanie nie próbowali wyrządzić im krzywdy, ani składać ich w ofierze, chyba mogą to potwierdzić. Stało się tak, ponieważ byli oni zarówno mile widziani jako goście, jak też jednocześnie szanowani jako narzędzia Meega.

Eemakh chciał być fair. Ludzie kosmosu mogą myśleć, że ponieśli straty z powodu boskiej misji. Bardzo dobrze –– mogli im więc przydzielić ziemię, dobrą ziemię z lasem do polowania i brzegiem morza do łowienia ryb. Ale nie wolno im zbliżać się do świątyni!

– A czy *ja* mógłbym tam wejść, żeby zbadać ładunek? – spytał Mayne.

Haruhiku zaczął dyskutować to z Kappanami, którzy miękli, ale nie poddawali się.

– Najwięcej, co mogę osiągnąć, panie sędzio – stwierdził pilot, – jest fakt, że oni chcieliby, żeby to było możliwe, ale tylko ci, którzy służą Meeg, mogą wejść do środka.

– No tak, rzeczywiście oni mogą patrzeć na to w ten sposób – westchnął Mayne. – Zostawmy więc to, tak jak jest, dopóki nie uda nam się wymyślić czegoś więcej. W każdym razie, teraz i tak już czas na przerwę na lunch.

On i Haruhiku, polecieli z powrotem na statek zwiadowczy. Przez większość drogi, Mayne dumał w milczeniu. Voorhis myślał, że miał prawo do około sześciu milionów za statek i ładunek. Melin uważał, że pół miliona

za statek i paliwo, powinno załatwić sprawę. Mayne przewidywał, że będzie musiał stuknąć ich razem głowami.

Zjedli lunch we dwójkę, w kabinie pilota, mając zaledwie tyle miejsca, by unieść łyżkę. Poza towarzystwem, Mayne równie dobrze mógł zjeść na stojąco, w kuchni okrętowej.

Zastanawiał się nad olbrzymią powierzchnią obszarów lądu na tej planecie. Czy może rozsądniej byłoby skierować wysłannika gdzie indziej? Jakie więzi istniały między plemionami?

– Luźne – powiedział mu pilot. – Tym niemniej, wieści się rozchodzą, ponieważ nie ma tutaj wielkich gór, czy też barier oceanicznych. Tubylcy podzieleni są na grupy, ale mają między sobą wiele kontaktów.

– Tak więc, gdyby Siły Kosmiczne przejęły Gemsboka, wszyscy się o tym dowiedzą?

– W czasie kilku tygodni, sir. Tego rodzaju wieści mają skrzydła na każdej planecie. Myślę, że zdołalibyśmy go dla pana zająć, ale moglibyśmy narobić jakichś szkód. Wielkość załogi statku zwiadowczego, nie predestynuje go do mieszania się w spory, wymagające rozstrzygnięcia przy użyciu broni ręcznej.

– A jeżeli wystrzelisz parę torped na wioskę Kappan, to prawdopodobnie zmieciesz ją z powierzchni – z namysłem stwierdził Mayne. – Dajmy potem miesiąc na rozejście się tej historii, a nikt na tej planecie, nie zaufa już żadnemu Terraninowi. Hmm… mało praktyczne!

– Byłoby też duże ryzyko zniszczenia Gemsboka.

– Prawdę mówiąc, Eric, mało by mnie to obchodziło, nawet gdybyś go wysadził w powietrze, aż na samą orbitę, razem z Voorhisem i Melinem czepiającymi się jego płetw ogonowych! Ale moim zadaniem jest roztaczanie wszędzie dookoła słodyczy i światła, a nie rozrzucanie odłamków i części statków kosmicznych.

Zaczął przygryzać ponuro kostkę palca wskazującego, ale nie wiedział żadnego sposobu na unikniecie wyłożenia sporych państwowych pieniędzy. Obciążenie firmy ubezpieczeniowej, po prostu spowodowałoby tylko odwołanie się do sądu przez nich, a nie przez Voorhisa.

– Ten Meeg – powiedział, aby zmienić temat. – Jak bardzo on jest ważny?

Haruhiku zastanawiał się przez chwilę, zanim odpowiedział.

– Oni tutaj, mają całą masę bogów, podobnie jak większość prymitywnych społeczeństw. Meeg jest dosyć ważny. Wydaje mi się, że ma on specjalne znaczenie dla tego plemienia… wie pan przecież, że niektóre starożytne miasta na Ziemi, miały specjalnego patrona.

– I on jest bóstwem tego małego księżyca? – spytał Mayne.

– Och, wydaje mi się, że czymś znacznie więcej. Naprawdę jest bogiem szybkości, posłańcem przynoszącym wieści od innych istot boskich. Zdaje się, że w prymitywnych mitologiach, zawsze znajdzie się bóstwo podobne do niego.

– Tak – wymamrotał Mayne. – Pomyślmy… jedną z takich paraleli, mógłby być starożytny ziemski Hermes, co nie?

– Coś podobnego – zgodził się Haruhiku. – W tym temacie nie mam pełnej jasności, sir. Przynajmniej nie jest on jednym z tych krwiożerczych bóstw.

– Tak, to pomaga – westchnął Mayne, – ale niewystarczająco.

Wziął od pilota blankiet na wysyłane wiadomości. Wkładając to trochę pracy, skomponował prośbę do terrańskiej kwatery głównej na Rigel IX, prosząc o autoryzację na wydanie dwóch milionów kredytów, na przygotowania życzliwego gruntu, dla narady mającej na celu podpisanie traktatu terrańsko-kappańskiego.

To brzmi niemal dyplomatycznie, powiedział sobie, zanim wysłał wiadomość.

Okres oczekiwania, który nastąpił później, spowodowany był bardziej przez obsesyjną ostrożność kwatery głównej, niż przez czas trwania transmisji podprzestrzennej. Kiedy w końcu nadeszła odpowiedź, wymagała ona dalszej wymiany wiadomości.

Ostatni komunikat Mayne'a można było streścić do:

– Ale ja ich potrzebuję!

Ostatnia odpowiedź przyznawała tymczasową zgodę na wydanie wzmiankowanej sumy, ale spomiędzy wierszy wiadomości wręcz biło w oczy, jak rozbłysk latarni morskiej, stanowcze ostrzeżenie, żeby Mayne lepiej nie liczył na zaksięgowanie tej pozycji pod pozycją „życzliwego gruntu". Środku budżetowe, po prostu nie mogą być wydawane w ten sposób, jak konkludowała aluzja.

– Wkrótce powinno zacząć robić się ciemno, nieprawdaż? – spytał porucznika Haruhiku, wciskając ostatnią wiadomość do bocznej kieszeni. – Wydaje mi się, że nie wznowię rozmów do rana. Być może do tego czasu, moja głowa znowu zacznie funkcjonować poprawnie.

Rano, jeden z marynarzy z załogi statku zwiadowczego, ponownie zawiózł helikopterem, pilota i Mayne'a, na spotkanie. Mayne spędził większą część podróży na rozmyślaniach nad wiadomością, którą otrzymał Haruhiku. Spodziewano się, że statek kosmiczny Diamond Belt, przybędzie na orbitę planety, nieco później, jeszcze tego samego dnia. Na jego pokładzie znajdował się specjalny wysłannik, J. P. MacDonald. Kapitan, którego poinformowano o obecności Haruhiku, poprosił o wskazówki do lądowania.

– Powiedziałem mu wszystko, co wiem – powiedział pilot. – Oczywiście, możemy dać mu namiar radiowy na dół, chyba że uważa pan, że powinniśmy odesłać go gdzie indziej.

– No cóż… zobaczmy jak nam idzie – powiedział Mayne. – Zdaje się, że już tam na nas czekają.

Po wylądowaniu, stwierdzili, że Voorhis, Melin i miejscowe władze, zebrali się już koło chaty, ale wszyscy stali odwróceni twarzami do nowej „świątyni". Po wymianie powitań, usiedli razem przy stole w podobnym układzie, jak to było poprzedniego dnia.

– No, dobrze, panowie – powiedział Mayne do obu Ziemian. – Wygraliście. Rząd ma zamiar rzucić co nieco na stół. Chciałbym, zredukować całą sprawę tak bardzo, jak to tylko będzie niezbędne do tego, byśmy przestali w końcu mówić o nonsensach w rodzaju prawdziwej wartości statku, albo znajdującego się w nim ładunku.

Wyglądali na zaskoczonych jego tonem. Mayne kontynuował, zanim odzyskają zimną krew.

– Cel, jaki w związku z tym mam na myśli to, jeżeli będzie to w ogóle możliwe, zapewnić panu Voorhisowi powrót do biznesu, w sposób który nie będzie kosztował posady pana Melina. A teraz proponuję, byśmy wszyscy razem pochylili głowy nad tym problemem, pozostawiając troskę o usprawiedliwienie naszych działań, na później.

Najtrudniejszą rzeczą było przekonanie Voorhisa o rezygnacji ze swoich marzeń o fantastycznych zyskach. Ale zanim Mayne ochrypł z wysiłku, kapitan zdołał dostrzec, że nie może jednocześnie mieć ciastka i zjeść go.

Melin zgodził się, że mógłby zapłacić odpowiednią cenę za Gemsboka, jeżeli będzie mógł podobnie zapłacić za ładunek, który w takim przypadku byłby skłonny uznać jako szkodę. Pomimo wszystko, statek kosmiczny zakotwiczony do świątyni, mógł zgodnie ze wszelkim rozsądkiem, zostać uznany jako niezdatny do lotu. Ubezpieczyciel mógłby przejąć również ładunek i zredukować swoje straty, pozwalając rządowi kupić go za dwa miliony.

– Chce pan lecieć ze mną na następną wyprawę? – zaprosił go Voorhis, kiedy to usłyszał. – Jeżeli zawsze pan tak prowadzi interesy, to zbijemy majątek!

– A więc, panowie, stanęło na tym – oznajmił Mayne, prostując się by ulżyć bolącym go plecom. Musiał nachylać się z napięciem nad stołem, dłużej niż się tego spodziewał. – Kapitan otrzymuje dwa i pół miliona. Pan Melin wychodzi z tego, płacąc tylko pół miliona, cedując resztę kwoty na mnie.

– Gratulacje, panie sędzio! – powiedział Melin. – Został pan teraz właścicielem statku oraz ładunku, które, jak przypuszczam, podaruje pan Kappanom.

– Ale w jaki sposób? – dopytywał się Voorhis. – Oni myślą, że już go mają.

– Tym, będziemy martwić się później – odparł Mayne.

– *To pan* będzie! – zarechotał Voorhis. – Mam nadzieję, że zdoła pan wyciągnąć z tego *jakieś zyski* dla siebie.

Haruhiku przerwał, aby poinformować Mayne’a, że Kappanie którzy siedzieli przysłuchując się wszystkiemu ze zdumieniem, zapraszają Terran na małe przyjęcie.

– Przetłumaczyłem wystarczająco dużo, aby mogli zrozumieć, że nikt im nie będzie próbować robić przeszkód, w budowie świątyni – wyjaśnił. – Teraz uważają, że powinni okazać nam gościnność.

– Dobrze, to już coś – stwierdził Mayne.

– Powiem panu, co będzie tym czymś – chrząknął Voorhis. – Jedzenie!

Całe zgromadzenie skierowało się do wioski Kappan. Terranie –– chociaż wymagało to pewnego wysiłku –– przeżyli przyjęcie.

Mayne sądził, że lepiej będzie nie wypytywać za bardzo o pochodzenie potraw, które im serwowano. Eemakh ewidentnie był strasznie mocno zdeterminowany, aby jak najwspanialej okazać gościnność swojej wioski, tak więc Terranie musieli nawet spróbować kappańskiego piwa. Mayne wchłonął go wystarczająco dużo, aby nieco do niego przywyknąć.

A może to ono wchłonęło mnie? zastanawiał się. *Igrillik zaczyna wyglądać niemal jak człowiek*!

W końcu wyciągnięte zostały wózki i pojechali, podskakując na wybojach, aby podziwiać postępy w budowie świątyni. Świeży wietrzyk pozwolił Mayne'owi na tyle otrzeźwieć, aby przypomnieć sobie, że jest już późne popołudnie, a on jeszcze musi załatwić pewną sprawę z Eemakhem.

Kiedy przybyli na miejsce, marynarze z Gernsboka uznali za stosowne zająć się Voorhisem jak przystało dowódcy, i zanieść go do chaty. Mayne opadł na ławę przy stole, na dworze, obserwując jak Melin niemal po omacku dotoczył się na miejsce obok niego. Sędzia zauważył również, że pilot helikoptera Haruhiku, podał mu jakąś wiadomość, zaraz kiedy tylko porucznik zszedł wózka

– Pewnie to z Diamond Belt – domyślił się Mayne.

Spojrzał z lekkim rozbawieniem na Melina. Urzędnik ubezpieczeniowy wpatrywał się w zupełnej ciszy w stołową deskę, na której opierał swoje łokcie. Jego twarz przybrała zieloną barwę. Nawet Eemakh, z trudem dotarł do stołu i z westchnieniem opadł na ławę. Wysoki duchowny zdawał się być mniej dotknięty skutkami celebracji, a Mayne czuł dumę, widząc że Haruhiku podszedł do niech, ze swoją normalną uprzejmą dziarskością.

– Są już blisko? – spytał go.

– Robią ostatnie kręgi hamujące – zameldował pilot. – Wysłałem rozkaz na statek zwiadowczy, żeby podali im namiar do lądowania. Ciągle jednak jeszcze jest czas, żeby wysłać ich w inne miejsce…

– Najpierw jeszcze jedna próba tutaj – zdecydował Mayne. – Powiedz Eemakhowi, że chcielibyśmy rozwiązać pewne zamieszanie związane z Meegiem i ładunkiem.

Haruhiku pozwolił sobie na lekkie wzruszenie ramion i przetłumaczył słowa sędziego. Eemakh wyprostował się, żeby okazać zainteresowanie, podczas gdy Igrillik obrzucił Mayne'a podejrzliwym spojrzeniem pomarańczowych oczu. Ten ostatni zaś starał się uformować w głowie argument, który uderzyłby ich, jako szczególnie logiczny.

– Powiedz mu – poinstruował tłumacza, – że uważamy, że Meeg znany był również na Ziemi, tyle że pod inną nazwą. Potem opisz im mitologicznego Hermesa, i zobaczymy co on na to powie.

Haruhiku rozpoczął rozmowę, która trwała przez kilka minut. Igrillik, jako autorytet w tych sprawach, oczywiście, poczuł się w obowiązku, dostarczyć długiej opinii na ten temat. W końcu pilot zwrócił się do Mayne'a:

– Odpowiedzieli, że tylko nam pogratulować – oznajmił.

– I to wszystko?

– No cóż, zdają się być odrobinę bardziej przyjaźni. Miałem zamiar naszkicować im obraz jego znanej postaci, ze skrzydełkami przy piętach i nakryciu głowy, ale to nie odpowiada ich własnej koncepcji. Igrillik zapytał, czy chce pan powiedzieć, że wierzy w Meega.

– Dajmy temu spokój – odparł Mayne. – A teraz… czy oni wiedzą o tym, że mamy łączność ze statkiem?

– Zdają sobie sprawę z tego, że coś takiego ma miejsce – powiedział Haruhiku. Przede wszystkim, przecież widzieli mnie, jak wysyłam wiadomości na zwiadowcę, przez terminal helikoptera.

– Dobrze! Przypomnij im, że Gemsbok również ma tego typu wyposażenie.

Haruhiku wdał się w kolejną długą rozmowę. Pod jej koniec, Kappanie zaczęli okazywać oznaki lekkiego niepokoju. Zachowywali jednak milczenie.

– I właśnie dlatego – dodał Mayne, – Terranin, który służył tej maszynie, powinien mieć w ich oczach rangę, sługi Meeka, tak samo jak Igrillik. Ładunek znajdujący się na statku, był nie bardziej jego własnością, niż wiadomość należy do przenoszącego ja posłańca.

Pilot wyłożył to wszystko Kappanom, wspomagając się bogatą gestykulacją.

– A ponadto – szybko powiedział Mayne, zanim ktokolwiek mógłby zdążyć zasugerować, że w takim razie właścicielem ładunki powinien być Meeg, – to co wynegocjowałem z Melinem i Voorhisem, oznacza, że teraz ładunek należy do całego ludu Terran.

Eemakh zaczął groźnie spoglądać, a na oliwkowym obliczu Kappanina pojawił się imponujący grymas. Mayne pośpieszenie zaczął mówić dalej.

– Tak więc mamy do czynienia z przypadkiem, w którym Kappanie *absolutnie nie mają prawa*, aby zabronić nam przywileju ofiarowania tych wszystkich dóbr na chwałę ich świątyni!

– O, cholera! – chrząknął Haruhiku. Wyrzucił z siebie tłumaczenie.

Mayne obserwował, jak trafia ono prosto w cel. Igrillik aż się nachylił, aby popatrzeć na niego z niedowierzaniem. Eemakh zdawał się mieć kłopot ze skupieniem spojrzenia swoich rozpromienionych oczu na Terraninie.

Potem nastąpiły oczywiście prośby o jaśniejsze przedstawienie sprawy. Mayne pozostawił te powtórki pilotowi.

W końcu Eemakh wstał i objął go ramionami, w zaskakującej akcji, w wyniku której Mayne zaczął w duchu obmacywać swoje żebra. Igrillik zawołał coś do ochroniarza pilnującego wodza, po czym Mayne musiał aż stłumić dreszcz, na widok rozbłysku wielkich zębisk Kappanina. Jak widać, uśmiech był wspólną rzeczą u wszystkich humanoidów.

Pilot Haruhiku podszedł do stołu, z nową wiadomością.

– Teraz muszą już wylądować tutaj w pobliżu, w ciągu pół godziny, albo szybciej – powiedział marynarz.

– Została nam już tylko jedna rzecz – powiedział mu Mayne. – Voorhis jest usatysfakcjonowany, Melin –– zobacz on śpi na stole! –– uspokojony,

Kappanie są przyjaźni, a J. P. McDonald, oczywiście kiedy już wyląduje, będzie szczęśliwy. Teraz muszę tylko jeszcze uniknąć dwumilionowego miecza nad moją głową!

Odwrócił się do marynarzy z Gemsboka, wałęsających się przed chatą.

– Kto zajmował się u was komunikacją? – zaczął ich wypytywać.

Szczupły, piegowaty młodzieniec, z wielkim nosem, przyznał się do tej funkcji. Mayne położył operatorowi rękę na ramionach i oświadczył mu, że wraca do interesu.

– Powiedz im – poinstruował Haruhiku, – że jeżeli chcą się dowiedzieć, jak używać wyposażenia, które Meeg dostarczył dla ich świątyni, nie wolno im zmarnować nawet chwili, dostarczając naszego stojącego tutaj przyjaciela na statek… ehem… nazwij go „świątynią". On im pokaże, jak wezwać statek kosmiczny z niebios.

Haruhiku zachowując poważną minę, obrzucił go spojrzeniem, które było zawoalowanym głośnym śmiechem. Przetłumaczył to i między Kappanami w tą i z powrotem zaczęły przebiegać wykrzykiwane rozkazy, docierając aż do najwyższych poziomów wznoszonej konstrukcji. Porucznik zawołał swojego pilota.

– Każę mu natychmiast przesłać na statek zwiadowczy rozkaz monitorowania Gemsboka i przekazania mu kontroli lądowania, zaraz jak tylko usłyszą go w eterze – wyjaśnił.

Mayne skinął głową. Chwycił pod rękę radiooperatora z Gemsboka, który popędzany był przez Igrillika i grupę eskortujących ich wojowników.

– Tylko jedna rzecz, synu – przekrzyczał chór rozgadanych głosów. – Zapomnij o oznaczeniu wywoławczym statku. Kiedy będziesz na antenie, określaj się Centralna Kontrola Lotów na Kappa Orionis.

– Centralna Kontrola Lotów na Kappa Orionis…? – nieufnie powtórzył młodzieniec.

– Załapałeś – powiedział Mayne i pchnięciem skierował go w odpowiednią stronę. Potem zwrócił się do Haruhiku. – Ostatnią rzeczą, jaką musimy zrobić, to wysłać helikopter po trochę farby. Nie obchodzi mnie, że *nie* wyschnie, zanim wyląduje Diamond Belt. Chcę, żeby na drzwiach tej chaty znalazło się odpowiednie oznaczenie!

– Oznaczenie?

– Wszyscy mają móc już z daleka odczytać „Port Kosmiczny Numer 1". Dwa miliony, to niewielka kwota, za zakup działającego już portu kosmicznego. Nie będzie żadnych problemów, ponieważ Kappanie obiecali ziemię.

Wszyscy zdawali się gdzieś biec. Mayne otarł twarz chusteczką i usiadł koło Melina, który wyglądał, że z głową ułożoną na stole, jest mu naprawdę bardzo wygodnie.

Z wnętrza chaty Mayne słyszał głośne chrapanie, którego źródłem musiał być Voorhis. Reszta załogi Gemsboka pobiegła za tłumem do wieży kontroli lotów, która jednocześnie była świątynią. Po chwili, wrócił Haruhiku i usiadł po drugiej stronie stołu, naprzeciwko Melina.

– Wspaniale, panie sędzio! – powiedział. – Być może nawet uda nam się jakoś wyjść z tego, z całą skórą.

– Oczywiście, że nam się uda – odparł Mayne, nasłuchując chrapania Voorhisa. – Pomimo wszystko, Hermes był również bogiem złodziei!

KONIEC